

MARCIN BRZOSTOWSKI

MIEDZYNARODOWY DZIEŃ MAFII



Marcin Brzostowski

MIĘDZYNARODOWY DZIEŃ MAFII

© Copyright by
Marcin Brzostowski & e-bookowo
projekt, grafika - Michał Olejarski
korekta - Zuzanna Błońska

ISBN e-book 978-83-8166-004-4
ISBN druk 978-83-8166-005-1

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie podobieństwo bohaterów tej książki
do jakichkolwiek osób jest przypadkowe
i niezamierzone przez autora

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2019

[Kup książkę](#)

Mieszkanie Małej Sylwii, piątek, godzina 22.00

Dźwięk dzwonka wyrwał Małą Sylwię z chwilowego letargu. Dziewczyna podniosła się z kanapy, poprawiła odruchowo włosy i ruszyła w stronę drzwi. Bez zbędnych ceregieli otworzyła je, zaprosiła do środka doktora Marchwickiego i patrząc mu prosto w oczy, powiedziała:

– Dziękuję, doktorze, że pan przyszedł.

– Nie ma sprawy – odpowiedział lekarz. – Przecież to mój obowiązek.

– Niby tak, ale chyba nie o tej porze.

– Wręcz przeciwnie, młoda damo. Właśnie zaczyna się weekend, a to już od lat najgorętszy dla mnie okres.

– Nie bardzo rozumiem, panie doktorze.

– W ciągu tygodnia – psychiatra wziął głębszy oddech – mam do czynienia głównie z reprezentantami białych kołnierzyków, natomiast od piątku do niedzieli moimi pacjentami są zazwyczaj celebryci. I to z najwyższej półki!

– Naprawdę? – Mała Sylwia zrobiła wielkie oczy.

– Dokładnie. Właśnie wracam od pewnej piosenkarki, która przeraziła się tym, że będzie musiała zaśpiewać koncert na żywo, zamknęła się na tarasie i zagroziła, że wyskoczy.

– I wyskoczyła?

– Nie. Ona tak straszy wszystkich już od lat, ale jeszcze nigdy nie zrobiła sobie krzywdy.

– Czy to jest normalne, panie doktorze?

– Raczej nie. Zwłaszcza że ona mieszka w willi na Żoliborzu,

a z tego tarasu wychodzi się wprost do ogrodu.

- Rozumiem. A która to piosenkarka?
- Niestety, nie mogę powiedzieć.
- Wiem, wiem, tajemnica lekarska.
- Otóż to, młoda damo!
- A mogę ją znać, panie doktorze?
- Z pewnością. Jej piosenki śpiewa cała Polska.
- To niech pan zanuci którąś z nich.
- Którą?
- Może największy przebój?
- W porządku. To chyba mogę zrobić!

Wyrażnie pobudzony psychiatra położył torbę lekarską na podłodze, złapał się pod boki i naśladując operowe gwiazdy, wyrzucił z siebie kilka dźwięków w bliżej nieokreślonej tonacji:

- Tra, la, la. La, la. Lo, li!
- Wiem! – krzyknęła Mała Sylwia. – To jest „Widziałam orła cień”!
- Nie, młoda damo. Posłuchaj uważnie.
- Tak jest, panie doktorze.
- Tra, la, la. La, la. Lo, li, li, lo!
- „Dmuchawce, latawce, wiatr” – wyrzuciła z siebie dziewczyna.
- Na bank!
- Niestety nie. Kolejna skucha, panienko.
- Teraz mi się uda. – Mała Sylwia nie upadała na duchu. – Tylko niech pan śpiewa odrobinę wyraźniej.
- Też mi coś – oburzył się doktor Marchwicki. – Przecież moja dykcja jest bez zarzutu!
- W porządku, doktorze. Niech już pan śpiewa.
- A zatem... – Psychiatra skupił się ze wszystkich sił. – Tra, la, la. La, la. Lo, li, li, lo. La, lu, lu, la!

– Wiem! – Dziewczyna aż zapiała z radości. – „To nie ja byłam Ewą”! Zgadłam, doktorze, prawda?

– Niezupełnie, ale jest pani blisko.

– Ale czy to ta piosenkarka?

– Nie mogę aż tak podpowiadać, młoda damo. Proszę jednak zwrócić uwagę na ostatnie „lu, la!”, z naciskiem na „la!”.

– W takim razie – Mała Sylwia zacisnęła dłonie w pięstki – to jest „To nie ja byłam Ewą”, tylko w zmiksowanej wersji i zaśpiewane od tyłu do początku!

– Czy jest pani pewna?

– Tak.

– Jak bardzo?

– Na sto procent!

– A zatem – doktor Marchwicki chwycił dziewczynę w ramiona – zgadła pani. Brawo, brawo, brawo. Bravissimo!

Uszczęśliwiona gospodyni wyrwała się po chwili z żelaznego uścisku lekarza i nucąc pod nosem przebojowe „Tra, la, la. La, la. Lo, li, li, lo. La, lu, lu, la!”, wprowadziła go do przestronnego salonu. Dopiero tu doktor Marchwicki dostrzegł mężczyznę siedzącego przy stole i natychmiast zrozumiał, że to właśnie do niego został wezwany. Chcąc zachować powagę przynależną wykonywanej od lat profesji, uzbroił się w niezwykle powściągliwy, acz przyjazny wyraz twarzy, po czym zbliżył się do potencjalnego pacjenta. Zanim zdołał się upewnić, że nieznajomy potrzebuje jego fachowej pomocy, usłyszał pod swoim adresem:

– Dobry wieczór, doktorze. Nazywam się Franco Fog i jestem inspektorem policji. A moim problemem jest to – mężczyzna wyjął pistolet z kabury przypiętej do paska spodni – że nie piłem niczego sensownego od przeszło trzech dni. Czy jest pan w stanie to zrozumieć?

Zaskoczony psychiatra nieco się skulił i z duszą na ramieniu odpowiedział:

– Dobry wieczór, panie inspektorze. Ale czy mógłby pan trochę rozbudować swoją wypowiedź?

– To znaczy?

– Przede wszystkim chciałbym lepiej zrozumieć, co pan miał na myśli, mówiąc: „nie piłem niczego sensownego”.

Franco Fog przeszył lekarza przenikliwym spojrzeniem, po czym dał znak, aby ten usiadł naprzeciw niego. Dopiero gdy doktor Marchwicki spoczął na wyznaczonym krześle, Fog rzucił w jego stronę:

– Czy ja wyglądam na degenerata, który łoś wodę bez popitki?

– Ależ nie, panie inspektorze.

– Albo na kogoś, kto nie wie, do czego służy kieliszek?

– Nie chciałem pana urazić, panie inspektorze.

– A zatem proszę zapamiętać! – Franco Fog położył pistolet na stole. – Moje życie kręci się wokół whisky!

– Rozumiem – rzucił krótko psychiatra. – I pije pan tylko whisky?

– Tak.

– Żadnego wina ani koniaku?

– Nie.

– A może piwo?

– Okropieństwo.

– To może kieliszek szampana?

– Wyłącznie okazjonalnie.

– W takim razie... – Lekarz cmoknął z uznaniem. – Mam przyjemność rozmawiać z prawdziwym koneserem!

Inspektor zbył milczeniem komplement doktora Marchwickiego i jak gdyby nigdy nic zakręcił pistoletem. Jego walther PPK

obrócił się kilkakrotnie wokół własnej osi i po krótkiej chwili zastygł w bezruchu z lufą wycelowaną wprost w Małą Sylwią, która siedziała na kanapie i przysłuchiwała się rozmowie. Nieprzyszyczony do widoku broni psychiatra przełknął głośno ślinę i gwałtownie zapytał:

– Na czym polega pana problem, inspektorze?

– Już mówiłem.

– Przecież teoretycznie może pan go rozwiązać w ciągu kilku sekund.

– To znaczy?

– Wystarczy, że sięgnie pan po którąś z tych butelek i będzie po sprawie. – Wskazał ręką na doskonale wyposażony barek stojący w rogu salonu.

– Nie mogę tego zrobić.

– Dlaczego?

– Bo kilka dni temu uświadomiłem sobie, że jestem alkoholiczkiem!

– Rozumiem. A często pan pije?

– Cały czas.

– Nawet w pracy?

– Przede wszystkim w pracy. W mojej robocie abstynent nie ma żadnych szans.

– Czy dużo pan pije?

– Doktorze, nie jestem aptekarzem.

– Od jak dawna pan pije?

– Nie pamiętam.

– To proszę przypomnieć sobie dzień, w którym był pan absolutnie trzeźwy.

– Niech pomyślę... – Franco Fog zaczął się drapać po głowie.

– To było – cedził słowo za słowem – gdy szedłem do pierwszej komunii.

– Słucham? – Lekarza zamurowało.

– Tak. To było wtedy.

Doktor Marchwicki próbował zachować kamienny wyraz twarzy.

– A zatem faktycznie ma pan problem. Tylko jak to się stało, że w końcu pan go dostrzegł?

Wywołany do tablicy inspektor zrobił kwaśną minę, po czym zniżył ton głosu i oświadczył:

– To wszystko przez te pisma dla bab.

– Przepraszam, ale co pan ma na myśli?

– Kilka dni temu wziąłem do ręki taki magazyn i znalazłem test z pytaniami.

– Na temat alkoholizmu?

– Dokładnie.

– I co panu wyszło z tego testu?

– Nie chce pan wiedzieć.

– Proszę, niech pan powie.

– Nieważne. – Franco Fog uciął temat. – Natomiast istotne jest to, że od tamtej chwili bronię się jak lew, aby nie wypić nawet kropli.

– Doskonale, panie inspektorze. I jak panu idzie?

– Na razie nie mam z tym problemu, ale jestem totalnie rozdarty.

– Jak mam to rozumieć, panie inspektorze?

– Bo z jednej strony chciałbym być trzeźwy jak dziecko, ale z drugiej życie bez whisky jest nie do przyjęcia!

– Co pan ma na myśli, inspektorze?